

MOIM PRZYJACIOŁOM

„Grzeczność wszystkim należy, lecz każdemu inna” tak uczył Mickiewicz, jak głosi wieść gminna zrymowałem, puszczając oko do Siostry Tereski. Przyjeżdżałem do ciechocińskiego Domu Zdrojowego niemal od początku jego istnienia i znaleźmy się jak tyse konie. Siadałem zawsze w kącie pokoju Pielęgniarki Oddziałowej, gdy zaczynała przyjmować kuracjuszy na turnus i obserwowałem wchodzących. Gdy trafiałem na faceta wyróżniającego się brakiem oblicza „domowej ,ręcznej roboty” kiwałem jej dyskretnie głową i dostawałem „sanatoryjnego współspacza” z którym mogłem przez 24 dni i nocę gadać nie tylko o „d...Maryni”. Tym razem trafiłem na szczególnego towarzysza niedoli. Nazywał się Jerzy Wieścicki. Był chory tak jak i ja na „spondylitis antilopoetica” Mimo łacińsko medycznych współbrzmień nie jest to choroba wstydliva i nie zapadają na nią poeci, a w każdym razie nie tylko, bowiem mój współlokator, mając owe nieszczęsne „pacierzowe” ZZSK był autentycznym naukowcem, informatykiem i docentem na UW. Po przedpołudniowych zabiegach - szczególnie zaś po moczeniu dziennym, jak nazywano ćwiczenia w basenie solankowym - Jurek zamykał się w naszym pokoju obłożony książkami, z których ustawnie coś wypisywał. Kreślił jakieś grafy w przestrzeni niemal wielowymiarowej i usiłował zarazić mnie, artystę plastyka, swoją miłością do „Szkoły Matematyków Wrocławskich”, którym udało się przybyć do tego miasta ze Lwowa. Nie chciał w ogóle wychodzić z pokoju, bo już pierwszego dnia podeszła do niego wystrojona pani w wieku postbalzakowsko porębnym, pytając „czy jest pan już sparowany?”. Gdy z naiwnością niemowlęcia stwierdził, że nie był jeszcze u lekarza i nie miał dotychczas zabiegów, oświadczyła z politowaniem: „Po lekarzu wszystkie panie będą już zajęte!” Miała w tym trochę racji, bo zastępy Miss i Wicemiss „Młodej Polski” dziwnie szybko odnajdywały swoje przeznaczenie, czyli sklonowanych poniekąd, diabolicznych, prawie Przybyszewskich, walecznych, mimo widocznych zaników także i pamięci Kozielskich czy łysiejących Kmiciców lub wystrojonych w kościółkowe garnitury uspołdzielczonych Chieno-Piastów PRL-u. Wszyscy dzielni panowie, wniebowzięci powodzeniem u dam, do mazura stając wesoło, raz ostatni, do szafu, do dna, byli w stanie jednakże co najwyżej pójść w tango, które najczęściej okazywało się jedynie chodzącym, z obowiązkowym odsapnięciem w połowie każdego numeru. Ale „Jurkowa” białogłowa nie zapomniała o biednym sanatoryjnym sierocie i wcale nie dała za wygraną. Czarna farba do włosów „Uroda” czyniła z niej U-bóstwo, czyli z gołą wartą grzechu, namacalnie amatorską niewiastę, w pełni świadomą swych historycznych zwycięstw. Miała zresztą na imię Emilia, co starym Polakom mówiło jeszcze wtedy bardzo wiele.

Jakby w zgodzie z historią nie była też nadal „sparowana” i trzeciego dnia pobytu podeszła po obiedzie do naszego stolika wydając przestraszonemu docentowi krótką komendę: - Pan będzie ze mną spacerował! - Ja? bąknął musztrowany a... w którą stronę? - Do Wisły i z powrotem, padła żołnierska odpowiedź. - Panu potrzeba ruchu na świeżym powietrzu! Umawiamy się przed Zdrojowym za godzinę! I tak oto biedny Jurek stał się mimowolnym więźniem stanu, siedzącym dosłownie za niewinność. Na zabiegi przemykał od tej pory między kuracjuszami jak cichociemny, maskując swe prawdziwe oblicze gazetą, a po obiedzie zabarykadowywał się w naszym pokoju - twierdzy okopany za stertami książek. Pod koniec pierwszego tygodnia nieszczęsna „porzucona narzeczona” przydybała mnie niejako przypadkiem na borowinie. Wmawiałem Jurkowi, że niebezpieczeństwo porwania za młodu minęło, bo Pelargonia zadowolili się (czasowo, jak się jednak okaże) trzecim gatunkiem świeżości, czyli faciem, który chodził z nią na tańce w marynarce jakby zdjętej ze starszego brata i w koszuli z krótkim rękawem, ze stójką „wzór 1917”. Przystrojony gustownym krawatem na gumce, z namalowaną baletnicą, prawie a la Degas i napisem Moulin Rouge mógł śmiało konkurować o tytuł „Teżniowego Majstra Elegancji”. Madame, czekając ze mną w kolejce na tarzanie w błocie, rozpoczęła niemal triumfująco: - Ten pana kolega jest naprawdę dziwny! Nie chce w ogóle chodzić z paniami! Bo widocznie choć taki duży, to nie umie jeszcze chodzić powiedziałem ze śmiechem. A dlatego unika wszystkich, bo jest tu incognito, kobito! Acha, że niby nikt ma nie wiedzieć, że on tu jest, tak? - stwierdziła nieco zbita z tropu moją częstochowską rymowanką. Ale dlaczego on ucieka przed niewinnymi nieprawdą kobietami, które mu nic nie zrobiły? Może jest jakimś zбочeńcem chłopolubnym? O nie, łaskawa pani. Zapewniam, że ten pan nie jest „homo”. On jest docentem, cenionym w Polsce naukowcem, który chociaż tutaj chce mieć święty spokój! Ale czemu on właśnie tu w sanatorium unika kobiet, upierała się przy swoim zawiedziona. Bo on ma dosyć kobiet na co dzień w pracy, walnąłem z grubej rury. A to on jest docentem od kobiet? - spytała z nabożnym podziwem. Tak, ale niestety tylko od płci pięknej łaskawa pani, zarechotałem, gapiąc się bezczelnie na jej chałupniczy makijaż. Drżałem z niecierpliwości na myśl o minie, jaką robi mój współlokator gdy mu to wszystko opowiem. A to, w którym szpitalu on leczy? - zaskrzeczała nagle. Zatkano mnie. W żadnym, odpaliłem z nutką zniecierpliwienia w głosie. On tylko prywatnie, w swoim domu przerabia stare panny na młode matki! ...c.d.n.

Wojtek Lipczyk